

№ 41 Rok XIX.

Dnia 26 Września (8 Października) 1898 r.



# WIECZORY RODZINNE

TYGODNIK ILLUSTROWANY DLA DZIECI



POWRÓT Z WINOBRANIA W KAMPANII RZYMSKIEJ.



## Panorama „Przejście przez Berezynę.“



Przed kilkunastu dniami otwartą została w Warszawie nowa panorama, przedstawiająca przejście wielkiej armii francuskiej w odwrocie z pod Moskwy, przez bagnistą rzekę Berezynę, w ostatnich dniach listopada 1812 roku.

Pisząc o panoramach „Golgota” i „Tatry” w zeszłym roku, objaśniliśmy szczegółowo naszym czytelnikom różnicę tego rodzaju dzieł sztuki od zwy-

kłych obrazów. Celem panoramy jest wywołać jaknajwiększe złudzenie rzeczywistości, a sztuka malarska i dekoracyjna doszła już do takiej doskonałości, że widzowi stojącemu na podium panoramy wydaje się, iż w istocie przeniesiony został nagle w środkowy punkt rozległego krajobrazu i jest świadkiem odbywających się na nim zdarzeń.

Panorama Berezyny jest dziełem pierwszorzędnym naszych malarzy: Juliana Fałata i Wojciecha Kossaka. Przy pomocy kolegów swych: Pułaskiego, Stanisławskiego, Wywiórskiego i Piotrowskiego, rzucili oni na przestrzeń 6 tysięcy łokci kwadratowych płótna ogromny, śnieżny krajobraz, przedstawiający wiernie wybrzeża Berezyny pod wioską Studzianką, zasiany tysiącami wojska, koni, wozów i armat, a ponad nim niebo zimowe, pokryte obłokami i gdzieniegdzie oświecone promieniami zachodzącego słońca. Pod względem historycznym i artystycznym, panorama ta wywiera głębokie wrażenie i ze wszech miar na obejrzenie zasługuje.

Jak wiecie z historii, rok 1812 jest pamiętny w dziejach Europy i stanowi przełom w nadzwyczajnym życiu cesarza Napoleona. W tym właśnie roku wkroczył on na granicę Rosji i po kilkunastu krwawych bitwach dotarł we wrześniu do Moskwy, która wkrótce potem przez własnych mieszkańców w większej części spaloną została.

Nie mogąc dłużej pozostawać w tem mieście z uszczuploną znacznie armią i bez zapasów żywności, Napoleon musiał rozpocząć odwrót. Odwrót ten jednak stał się kłęską dla armii, która z dniem każdym topniała i rzedniała, tak od kul ścigających ją wojsk księcia Kutuzowa i Witegenstejna, jak od mrozu, śniegu i głodu. Udało się jej jeszcze przeprawić przez Dniepr pod Orszą, ale gdy doszła do Berezyny, ciągnąc za sobą tysiące rannych i niedobitków, — mostów dawniejszych już nie było. Dzięki nadzwyczajnym wysiłkom generała Eblé i kompanii pontonierów ustawiono w mroźnej wodzie dwa mosty i po nich przeszły resztki regularnego wojska, a następnie rzuciły się tłumy niedobitków. Mosty kilka razy się zawałyły, mnóstwo ludzi utonęło, a jeszcze więcej zostało na lewym brzegu, na pastwę głodu i chłodu. A i tych co przeszli nie o wiele lepsza czekała dola. Napoleon z resztkami wojska szedł jeszcze do Smorgoni, stamtąd zaś pojechał szybko przez Warszawę i Drezno do Paryża, aby przygotowywać nową kampanię 1813 roku, która się zakończyła bitwą pod Lipskiem.

Rozproszeni na wielkiej śnieżnej przestrzeni wśród lasów i moczarów, niedobitki wielkiej armii, przemarznięci, ranni i głodni, wlekli się na zachód całymi miesiącami, to dostając się do ni woli, to umierając z wycieńczenia. Niewielka ich ilość stosunkowo powróciła do Francji. Dopuszczali się też dla uratowania życia różnych rozbojów, często jeden drugiemu, kolega koledze, odbierał ostatni kawałek chleba. Bywały jednak i czyste przykłady poświęcenia; zdrowi i silniejsi pokrzepiali i nieśli starych lub ranionych. Jedno z takich zdarzeń opisał Syrokomla w gawędzie żołnierskiej: Kapral Terefera i kapitan Szerpentyna, której kilka strof przytaczamy.

Z pod Smoleńska nasza wiara  
Żwawym marszem w odwrot kroczy,  
Rzadko który miał suchara  
A gorzałki — ani w oczy!

Pod jakowymś tam folwarkiem  
Dano spocząć nam nareszcie,  
A kozacy tuż nad karkiem,  
A mróz stopni ze trzydzieści! —  
Zapalono krzyż z mogiły,  
Nuż się tłoczyć przy ogniku!  
Jezu Chryste, Panie miły,  
Terefere tatuleńku!

Myśmy mieli kapitana,  
Co nas jeszcze trzymał w wierze  
I bywało codzień z rana  
Każe mówić trzy pacierze.  
Co do postów: gdy golizna  
*Nolens volens* człowiek pości...  
Kapitana cześć starszemu  
A kochają strzelcy prości.  
Był to sobie dziad pochyły,  
Mówił zcicha, pomaleńku...  
Jezu Chryste, Panie miły  
Terefere tatuleńku!

Otóż ten zacny kapitan raniony w nogę, nie może podążyć za pułkiem, każe więc mu maszerować dalej, a sam zostaje w śniegu na śmierć niechybną. Ale kapral Terefera nie pozwoli zginąć staruszkowi, zostaje z nim i pomimo groźb i zakazu, bierze go na plecy i niesie.

Myślę sobie, mniejsza o to  
Niech się złości, będę znosić!  
Lecz z ciężarem brnąć piechotą.  
W śniegowiskach trudno dosyć.  
Człowiek spocznie sobie chwilę,  
I marsz naprzód aż łeb potnie;  
Do wieczoru ze trzy mile  
Przetrzepaliśmy samotnie.  
Stary wpał się w grzbiet pochyły,  
Ani słówka... ani stęku...  
Jezu Chryste panie miły,  
Terefere tatuleńku!

Szczęśliwym zbiegiem okoliczności dla obu wiarusów, gdy już siły zaczęły Tereferę opuszczać i nie było ani kawałka suchara, dopędził ich oddział francuski.

Ot na białej, dzielnej szkapce  
Jakiś jeździec ku nam kroczy,  
W szarej kurtce, w mskiej czapce,  
Co mu spada aż na oczy.  
Patrzę pilno... i struchlałem...  
„Broń prezentuj, jak na wartę!”  
Krzyknął kapitan z zapalem —  
„To sam cesarz Bonaparte!”  
Szerpentyna jak odżyły  
Na śnieg skoczył z moich ręk...  
Jezu Chryste, Panie miły  
Terefere tatuleńku!

Cesarz, wysłuchawszy raportu, obdarzył kaprala krzyżem legii honorowej, ale gdy wrócili do pułku, kapitan za nieposłuszeństwo skazał go na trzy dni aresztu.

Sluszenie zrobił, bo mospanie,  
Czy wodzowie, czy to prości,  
Kiedy rozkaz człek dostanie.  
Pilnuj ściśle powinności.

Wszystkie groźne sceny przejścia przez Berezynę, przedstawione zostały na obrazie z wielką wiernością. Podajemy tylko dwie części panoramy, które słabe zaledwie mogą dać pojęcie o samym obrazie i wrażeniu, jakie on wywiera. Jedna z tych części przedstawia ognisko, na którym z rozkazu cesarza palą sztandary tych — które wyginę-



ły. Przy ognisku na bębnie siedzi Napoleon, a przy nim stoją marszałkowie i kilku generałów: Murat, Ney, ks. Józef Poniatowski i inni.

Opodal w różnobarwnych mundurach stanął jak mur, tak zwany „święty szwadron,” składający się z oficerów różnych nieistniejących już pułków jazdy. W dali widać różninę śnieżną, krzyże mogiłek wioskowych, stogi siana i lasy.

Druga rycina przedstawia inną scenę: szarżę kawalerii, wozy i sanki, gdzie wiozą ranionych i t. d. Ale żaden opis ani fotografia nie może dać wyobrażenia o całości obrazu, który, jak powiedzieliśmy wyżej, sprawia zupełne złudzenie rzeczywistości.

I. B.

## BEZ PRZEWODNIKA.

KARTKA Z ZAKOPANEGO.

(Dalszy ciąg).

— Dla ciebie wszystko piękne — mruknął Janek — na Kościeliską też stąd miła drogi.

Ja myślę, żebyśmy poszli do Ślimaka. — Dobrze nam u niego było w zeszłym roku, może i tam stanęły.

Za chwilę byli w drodze. Pogardziwszy szosą, przez park świerkowy skierowali się w stronę potoku, przeszli po kładce na brzeg kamienisty, a potem wprost przez łąki na Targową. Dzień był prześliczny, słoneczny, pogodny, niebo bez chmurki pieściło spojrzenie błękitem, na polach kołysały się zboża złociste; świeża zieleń lśniła przez rosę.

Janek zły był, że mu się wszystko podobało. Miał czas jeszcze napatrzeć się zielonych świerków i śpiące Giewontu, Wirchów i Koszystej, czemu go to wszystko nęci? Nawet Gubałówka wabi oko wzorzystą swoją pochyłością i serce mimowolnie jakimś przyspieszonym tętnem wita starych znajomych i stare widoki.

Ile też skał, kamieni zmyły potoki wiosenne ze śpiących pod śniegiem olbrzymów? Ile szczerb nowych w ich ciałach odwiecznych? Ile zwalonych lasów przez wiatr halny zamknęło drogi? Jakie powstały nowe ścieżki i potoki?

Oj, poszedłby tam w góry, jak co roku, poszedł z ochotą, choć się przyznać nie chce i gniewem tłumi uczucie tęsknoty.

— Poszukamy ich u Ślimaka.

W chacie Ślimaków radość i zdziwienie. To się panie ucieszą, bo się i nie spodziewały tak prędko. A mieszkają od Kacprusia het! precz trochę na bok w pole, u szwagra, u Liptaka, co wybudował domek nowiusieńki. Nikt w nim jeszcze nie mieszkał, ale się spodobało, że całuskie góry widać, het, aż za Murań, a domów też niema w bliskości, to i przestronno, zielono i czysto.

Jankowi świeciły oczy, a serce szybko uderzało: ot, jak to trudno dopytać się w Zakopanem o mieszkanie znajomych. Przed godziną wyszli z domu i bez pomocy klimatyki wiedzą, co im potrzeba. Za pół godziny uściskają siostrę i jej opiekunkę a jutro lub pojutrze mogą wracać do Warszawy. Stryj ich pochwali i odbędzie z nim razem pouczającą podróż morzem z Gdańska do Kopenhagi. Powinni być bardzo radzi.

— Cóż — zwrócił się do brata — nie będzie się czem pochwalić przed stryjem, poszło nam jak po maśle, ośmioletni dzieciak dokazałby takiej sztuki. Chodźmy.

— A nie macie się co spieszyć — mówił Ślimak, wyjmując z ust krótką fajeczkę — bo poszli dzisiaj wszyscy do Morskiego.

— Co? — zawołali obaj chłopcy razem.

— A jakże, o świtanu, Wojtek przecie poszedł do rzeczy, a Maciej przewodniczy. Toć wiem. Poszło gości ze 12 osób. Starsze kobiety pojechały szosą, a co młodsze to na Zawrat. A wracać mają pozajutro na Waksmundzkę, toć nie macie poco do Liptaka chodzić. Zaczekać trzeba.

Bracia patrzyli na siebie.

— A gdzieżście stanęli?

— Na Chramcówkach.

— Zapłacicie! — pokiwał Ślimak głową. — Jest tu u mnie izba pusta, gdybyście też chcieli.

— My na parę dni tylko do Zakopanego. Zabierzemy siostrę i wracamy.

Teraz Ślimak się zdziwił.

— A z mieszkaniem? — zapytał. — Toćby Liptak znalazł sobie na całe lato gości.

— Krzywdy mu przecie nie zrobimy.

— To wiadomo, przecie sprawiedliwiście, ale będziecie mieli szkodę.

— Cóż robić.

Wracali ku Krupówkom zamyśleni. Co teraz robić? Czekać trzy dni w Zakopanem? Szkoda czasu. Zwłaszcza w taką pogodę. Bliskie wycieczki mniej nęca: dolinki do siebie podobne, tyle razy w nich byli, a tam w góry, w góry, dalej, aż dusza rwie się.

— Pójdziemy chyba do Morskiego? — zagadnął wreszcie Janek.

— Jutro — dodał Tadzio.

— Rozumie się, że nie dzisiaj. Przecież to całodziennej droga. Tylko wiesz, co ci powiem: co nam po przewodniku? Byliśmy ze sześć razy, a drogę przez Waksmundzką znamy jak własną kieszeń. Powrócimy zaś razem może inną drogą z Maciejem. Prawda.

— Zdaje mi się — rzekł Tadzio — że wybornie pamiętam drogę.

— Tylko nie mów o tem w domu, bo zaczną nam perswadować, straszyć. Bóg wie nie co. Ten się zabił, ten zginął, ten to, tamten owo. Górale chcą zarobku, a inni przez tehorzostwo wierzą wszystkim ich baśniom. Cóż, nie odpowiadasz?

— Zdaje mi się, że znam drogę — powtórzył Tadzio w zamyśleniu.

— A dzisiaj chodźmy na Czerwone Wirchy i wrócimy przez Giewont.

— Zmęczymy się przed jutrem.

— Co to za zmęczenie. Zresztą, siedz sobie w domu, kiedy się obawiasz.

— Nie obawiam się, ale przypomnij sobie, że to męcząca droga, a po pierwszych wycieczkach nogi bardzo bołą.

— To chodź do Czarnego Stawu.

— Czy nie zapóźno?

— Dziesiąta

— Musimy coś kupić po drodze, herbatę, cukier, trochę wędliny, tam dostaniemy mleka, to i obiad będzie. Drogę znamy.

— Jeszczeby też. Jak do Saskiego ogrodu. Swoją drogą rad jestem, że Czarny Staw zobaczą; przykro byłoby jakoś stąd odjechać, nie pozdrowiwszy tego przyjaciela, nie spojrzawszy ani razu na Kościelec, na Zawrat. Dobrze zrobiła Zosia z tą wycieczką. Jutro na noc staniemy u Morskiego; zadziwią się kobieciny a nam przyjemnie będzie zabrać do Warszawy tę garstkę nowych wspomnień.

— Szkoda, że na Kościeliskę czasu już nie będzie.

— Przeczytaj sobie o niej w przewodniku Eliasza, to ci się będzie zdawało, żeś widział.

— Dobrze żeś mi przypominał, jutro trzeba wziąć z sobą Eliasza.

— Może masz słusność, taki przewodnik niewiele kosztuje.

C. Niewiadomska.

(d. c. n.)



Żadwiga Waznhówa.

## BABIE LATO.

Rankiem i wieczorem, kiedy chłodne, jesienne rosy zwilżają stygnącą już ziemię, siedzi to sobie nie wiadomo gdzie. Chowa się zapewne wśród gęstwiny drzew leśnych, po tarninach i głogach, w kartofliskach, brudną rdzą pokrytych, w stojących jeszcze zagonach końskiego zębu, albo też w rozkołysanych wiatru powiewem szumiących oczeretach. Nikt nie wie, gdzie ono się chowa wieczorem i kędy przebywa rankami...

Ale około południa, zwłaszcza gdy wiatr pozmiata obłoki z nieba i jasny błękit zaświeci, opromieniony blaskiem słońca, wtedy wychodzi ono ze swej kryjówki i wędruje po

przed zimą spuszcza na ziemię, aby nauczyć kobiety prążyć tak cieniucho.

— Kto ci to powiedział? Moja babusia mówi, że te nici przedzie samo Babie lato na koszule dla wszystkich sierot. Chodzi ono ze srebrnym wrzecionem od wioski do wioski, wysnuwa bieluchną przędzę i miałyby z niej wszystkie niebożątka bez ojca i matki dosyć okrycia na całą zimę, gdyby nie hulał wiatr, który zrywa Babiemu latu nici bez ustanku i roznosi je stargane po całym świecie.

Babie lato nie słuchało ani nawoływania dziewcząt, ani rozmowy pastuszków, ale leciuchne, niepochwytne, przejryste płynęło w powietrzu...

Spotkały się z niem z błękitach ptaki.

— Pit, pit, pit! — świergocą jaskółki. — Babie lato już przyleciało, czas nam zbierać się na wędrowkę.

— Tak, tak, tak! — odpowiadają skowronki.

Bociany ujrzały już także nic z sukienki Babiego lata, zaczepione na łożach i trzcinach bagniska. Zwołały więc



Z PANORAMY „BEREZYNA.”

świecie, ciągnąc po ostrych ścierniach, suchych trawach i zeschłych badyłach swoją wiotką, długą szatę. A owa szata srebrno-biała, utkana jest z najcieńszych nitek pajęczych. Nie dziw więc, że się rozdziera łatwo, i że śnieżyste jej strzępki pozostają na polach, łąkach, albo też, unoszone podmuchem ciepłego wietrzyku, fruują w błękitie powietrza, kąpią się w słońca promieniach.

— „Babie lato! babie lato! — wołają wtedy dziewczęta przy kopaniu buraków, kartofli, suszeniu lnu, wycinaniu kapusty. Cieszcie się, babulki, wasze lato idzie! Dogrzej ono trochę przez parę dni o południu, ale nie na długo będzie tej radości... wnet rozpoczną się szarugi jesienne i babie lato przepadnie z kretesem.

— Jesień, jesień! Babie lato! Widzisz Franek — krzyczy Tomuś, pastucha.

Franek patrzy w górę, chwyta biczyskiem srebrzystą pajęczynkę i rzece z powagą:

— A wiesz ty, skąd te nici? To Matka Boska przejdzie je w niebie na złocistym kołowrotku i trochę tej przędzy

coprędzej wiec na obszernej łące i radzą, kiedy wyruszyć w drogę.

A żórawie, bekasy, słowiki nie pozostają za nimi w tyle. Widok babiego lata tak je przestraszył, że jedne już poleciały, a drugie szykują się do podróży w większych lub mniejszych gromadkach.

Uwiedomiwszy o swym przybyciu ptaki, Babie lato spuściło się niżej, aby oznajmić motylom, pszczołom, komarom, żukom, że straszna zima niedługo nadejdzie. Pofrunęło więc na majdan pod lasem, gdzie różowiły się jeszcze wrzosi i gdzie owady wyprawiały sobie ostatnią tegoroczną pohanek.

— Do ula, pszczołki! A spać żuczki! Świerszcze, koniki, wróbelki, każde do swojej siedziby! Czy mnie nie widzicie, czy mnie nie znacie? Jestem Babie lato, poprzedniczka i zwiastunka zimy. Rozweselałam trochę, ogrzewam, ale zarazem oznajmiam, że mój pobyt tutaj niedługi, a po mnie nadejdą chłodne wiatry i ulewę jesienne. Spieszcie się, spieszcie do swych kryjówek!



Owady jednakże tak były rozbawione graniem świerszczy, brzękiem pszczół, że nie zważały wcale na przemówienie Babiego lata i z tego powodu później przy pierwszym dżdżu jesiennym, namarnowało się ich takie mnóstwo.

Owe roztropne rady usłyszał tylko chomik, który przywędrował z pobliskiego pola, aby sobie trochę pospacerować na świeżym powietrzu; usłyszał je także jeź, zajęty zbieraniem liści w lesie, które starannie zatykał na swoje kolce.

— Hi, hi, hi! — zaśmiał się chomik. Ta z pajęczyny utkana pani każe się chować przed zimą, jakby każdy o tem sam nie pamiętał. Gdyby tylko zajrzeć chciała do mej spiżarni, przekonałaby się, że nie zaznam chłodu i głodu. Ja

W ogrodzie pełno było ruchu i życia. Dziewczęta uwiłajały się na zagonach, chłopcy w duże kosze zdejmowali owoce, a na trawniku pod drzewami biegała w ponsowej sukience dziewczynka wesoła, ożywiona, uśmiechnięta.

Naraz klasnęła w dłonie:

— Patrzcie, patrzcie, Babie lato uczepiło się na gałązce. Jakie cienkie, bieluchne! To dla tego tak ciepło. Marcinie, Marcinie, zerwijcie mi tę gałązkę razem ze śliwkami i z Babiem latem; zaniosę je babuni, bo to jej lato.

Ale ogrodnik, zajęty gatunkowaniem jabłek, nie słyszał, co mówiła dziewczynka, wskoczyła więc sama na drabinę,



Z PANORAMY „BEREZyna.”

będę miał co jeść i gdzie się wypaść, a o innych się nie troszczę. Ciekawy jestem, gdzie też ona zimę spędza? Gdy dobry wicher zadmie, to poszarpie ją chyba w kawałki, skoro już ten ciepłuchny wietrzyk drze jej suknię na drobne strzępki.

— Nie troszcz się o nią, bracie — odrzekł jeź. — Da ona sobie radę i nie zginie, bo przecież co rok nas nawiedza. Ja jej do swojej nory nie zaproszę, bo to nie mieszkanie dla takiej elegantki, co się stroi w tkaniny z nitek srebrzystych. U mnie ciasno i ciemno...

Babie lato nie chcąc już usłyszeć zapewne odpowiedzi samoluba-chomika, uniosło się znowu w powietrze i pofrunęło przez zasiane świeżo pole, przeleciało ponad wioską i wpadło do drugiego ogrodu.

Wesoło tam było i pięknie.

Na drzewach czerwieniły się jabłka, niebiesciły śliwki, zieleniły gruszeki. Na zagonach złożyły się stosy wykopanej marchwi i wybranej cebuli. Na grządkach kwitły jeszcze astry, reze, i wspaniałe różnokolorowe georginie.

przystawioną do śliwy, zerwała gałązkę i pędem pobiegła do dworu.

— Babuniu, niosę babuni lato! Takie białe, jak babci włoski.

To powiedziawszy, mała pieszczołka położyła gałązkę na kolanach babuni i zdyszana usiadła u jej stóp.

W kilka dni potem niebo spowiły ołowiane chmury. Wiatr zimny szumiał, a deszcz rześisty siekł gwałtownie w szyby dworku.

Dziewczynka w ponsowej sukience stała smutna przy oknie i patrząc na tę pierwszą szarugę jesienną, mówiła do swej babci:

— To babuni lato takie krótkie?

— Krótkie, krótkie, moje dziecko. Kilka dni słońce jaśniej zaświeci, ciepłe jego promienie pozłocą błękit nieba, biała pajęczyna pofruwa w powietrzu... i po wszystkim. Nadejdą zimne wichry, ulewne deszcze i przepadnie Babie lato! Babie lato krótkie, jak i radość nas starych. Osobiste szczegó-



ście już dla nas minęło... Ale kiedy widzimy, że zapal do pracy i czynu ogarnia młodych, że w ich sercach rozkwita wielka miłość dla braci, to wtedy, choć włos nasz siwy i siły coraz słabsze, w duszy u nas jasno i promiennie, jak w dniu pogodnej jesieni, gdy Babie lato zawita.

## W OBŁOKACH I POD WODĄ

WYPRAWY „LATAJĄCEJ RYBY.”

opisał H. C.

(Ciąg dalszy).

Porucznik dokonał zaraz, potrzebnych pomiarów, z których wynikło, że prąd morski uniósł ich o dwie mile angielskie w północno zachodnią stronę od miejsca wskazanego przez profesora. Wskutek tego podniesiono „Latającą Rybę” o 50 stóp w górę, puszczone w ruch maszyny, przód statku zwrócono w kierunku żądanym a podróżni stanęli w okienkach kajuty, wypatrując szczątków okrętu.

Ponieważ statek płynął z szybkością dwunastu węzłów na godzinę, należało spodziewać się, że potrzebną przestrzeń przebędą w dziesięć minut; zanim jednak minęła dziewiąta minuta, porucznik zawołał:

— Baczość, panowie! Najeżdżamy na jakąś wielką zaporę i możemy o nią się rozbić, profesor niech obroni nas od niebezpieczeństwa trafny obrotom steru. Karliński wykonał niezwłocznie obrót żądany i „Latająca Ryba” przemknęła tak blisko groźnej przeszkody, iż można było dokładnie widzieć szczyty podwodnych skał. Znajdowali się teraz w miejscu wskazanym przez profesora na mapie, ale prócz sterczących dokoła raf, nie dostrzegali nic podobnego do kadłuba zatopionego okrętu.

— Niema dotąd śladu poszukiwanych szczątków — odezwał się baronet — czy przypuszczenia twoje profesorze, co do miejsca gdzie nastąpiła katastrofa na pewnych oparta podstawach?

— O tyle pewnych — odparł Karliński — że niezawodnym jest faktem, iż w tych stronach okręt zatonął, ponieważ zaś miejsce wypadku w przybliżeniu tylko da się określić, przeto miejsce to obrałem za punkt wyjścia do dalszych poszukiwań.

Na poparcie słów swoich profesor nadał maszynom ruch wirowy a wszyscy z lunetami w rękę stanęli w okienkach. Koło zakreślone przez „Latającą Rybę” nie miało więcej jak dwieście stóp średnicy i nic z tego, co mieściło się w jego obwodzie, nie mogło ująć uwagi podróżnych. Gdy pierwsze takie okrążenie okazało się bezowocnem, zakreślano stopniowo krąg coraz szerszy, co niechybnie doprowadzić musiało do odnalezienia zatopionego okrętu.

Profesor dostrzegł go pierwszy i natychmiast skierował statek w tę stronę. Oczy wszystkich zwrócili się ciekawie na poszukiwany przedmiot, a gdy już tylko przestrzeń stu stóp dzieliła ich od niego, Mildemay zawołał przerażonym głosem:

— Miałem przeczucie! wszakże to „Labirynt”.

— Tak jest, potwierdził spokojnie profesor — to są resztki tego nieszczęśliwego okrętu. Pozwólcie teraz panowie, abymy zarzucili kotwicę i abym sam jeden udał się na zwiedzenie rozbitych szczątków.

Żądanie swoje wypowiedział Karliński z taką niezwykłą powagą iż łatwo można się było domyślić, że nie powodowała nim prosta ciekawość; towarzysze też jego w milczeniu lali znak przyzwolenia, spuszczone niezwłocznie „Latającą Rybę” na dno, zarzucono kotwicę a profesor zeszedł śpiesznie do pokoju nurków.

Pozostali w kajucie Anglicy mieli czas czynić szczególne spostrzeżenia nad zatopionym okrętem. Leżał on na wyłomach skalnych poziomo, z kadłubem i masztami mocno uszkodzonymi; nie było śladu pokładu, wysadzonego prawdopodobnie przez parę pękającego kotła, pozrywane liny zwieszały się z różnych stron, a woda poruszała kawałkami poszarpanych żagli.

Podróżni wspominali smutne szczegóły nieszczęśliwego a niedawnego wypadku. Z niewiadomej przyczyny prawdopodobnie wskutek najechnia na skałę podwodną w burzliwą noc październikową zatonął w tem miejscu okręt pasażerski „Labirynt” a z nim 500 ludzi. Nagle ukazała się im w mroku wód postać profesora, w stroju nurków, kroczącego śmiało ku szczątkom „Labiryntu”. W parę minut przebył on nie wielką rozdzielającą oba statki przestrzeń, wdarł się z trudem na skałę, wszedł do tylnej części okrętu i znikł.

Towarzysze jego pozostali w kajucie, chcąc usunąć z pamięci przykre wspomnienia. zeszedł do sali koncertowej, nie odwiedzanej od chwili wyjazdu z Londynu; wprawdzie wyjazd ten zaledwie przed dwoma dniami nastąpił, ale podróżni przez te dwie doby tyle nowych rzeczy widzieli, tyle wrażeń doznali, że zdawało im się, jakby już parę miesięcy wycieczka ich trwała. Przy muzyce i śpiewie czas szybko im schodził, dopiero gdy Jerzy oznajmił, że obiad podany, Anglicy spostrzegli, iż nieobecność Karlińskiego trwała już około trzech godzin.

— Co on tak długo tam robi? — zagadnął baronet z niepokojem — może przytrafił mu się jakiś wypadek?

— Nie sędzę — uspokajał go pułkownik — profesor nie należy do liczby ludzi, narażających się nierozważnie na niebezpieczeństwo. Przypuszczam raczej, że zrobił jakie ważne odkrycie i zatopiony w dociekaniach naukowych, zapomina spojrzeć na zegarek. Zadzwoni Jerzy; woda jest dobrym przewodnikiem dźwięków; to przypomni profesorowi, że czekamy na niego.

Środek ten okazał się skutecznym; trzech towarzysze powróciwszy do kajuty, po kilku minutach ujrzeli Karlińskiego, wychodzącego z rozbitego okrętu i niebawem połączył się z nimi, niosąc w rękę małą jakąś paczkę. Gdy przeszli do sali jadalnej, profesor z twarzą trochę zachmurzoną zasiadł za stołem i zabrał się do jedzenia.

Zupę i rybę spożyto w milczeniu, dopiero kieliszek wina rozwiązał profesorowi usta.

— Czuję się w obowiązku — rzekł — wytłómaczyć wam, panowie, co mnie skłaniało do skierowania w to miejsce przedewszystkiem naszej wyprawy. Miałem do tego trzy ważne powody: najpierw chciałem się przekonać o możliwości odszukania na dnie morza przedmiotu, o którym w przybliżeniu tylko wiedzieć możemy gdzie się znajduje; powtórę pragnąłem odnaleźć zagubioną relikwię; po trzecie potrzebowalem odzyskać drogocenny dokument, o którym domyślałem się, że zatonął wraz z „Labiryntem.” O pomyślnym rezultacie pierwszego doświadczenia mieliście sami sposobność przekonać się; poszukiwane rzeczy z łaski Boga znalazłem też odnaleźć szczęśliwie.

Po tych słowach profesor zamilkł na chwilę, ale było widocznem, że ma coś więcej do powiedzenia i słuchacze oczekiwali na dalsze jego słowa.

Karliński zamyślił się głęboko, a po dłuższej chwili rzekł z pewnem wzruszeniem:

— Zadziwi was może wyznanie, że i moje życie nie było wolne od przeżyć serdecznych. Trzydzieści parę lat temu, gdy jeszcze nie poświęcałem się tak jak później wyłącznie nauce, w kraju swoim poznałem i pokochałem całym sercem śliczną i zacną młodą osobę. Była to córka naszego sąsiada ze wsi. Zmuszony jednak opuścić na czasze strony rodzinne, nie miałem sposobności ani śmiałości prosić o jej rękę, lecz pamięć o niej zachowałem w sercu. Dowiedziałem się później, że wyszła za mąż, że mąż jej po kilkunastu latach z młodym synem dla poprawienia interesów, czy zrobienia fortuny, wyjechał do Ameryki i tam umarł, a syn po śmierci ojca powracał sam do matki. Ów syn jednak, piętnasto-



letni chłopak, którym zaopiekowałem się na obczyźnie, popłynął do Europy na nieszczęsnym „Labiryuncie”, i zginął wraz z innymi podróżnymi w falach morza, a biedna matka do dziś dnia stratę jego oplakuje, nie otrzymawszy nawet najmniejszej pamiątki po ukochanym dziecku. Tej pociechy przynajmniej będę mógł jej udzielić, odsyłając przy pierwszej sposobności osieroconej kobiecie zegarek, łańcuszek, obrączkę ślubną męża i pierścień z herbową pieczętką, znalezione u zmarłego jej syna.

(d. c. u.)

Marya Łopuszańska.

## OBROŃCY BOGÓW

Powieść na tle dawnych legend.

(Dalszy ciąg)

Masław się zbliżył i wpatrzył w kłęby dymu, które powoli zaczęły przybierać jakieś bardziej określone kształty. Rokitka stał za nim; szyderczy uśmiech nie opuszczał ust jego.

— Widzisz — mówił — masz co chciałeś: potęgę, panowanie, pozyskane za cenę potoków krwi — wyniesiesz się i będziesz deptał po głowach ludzkich, a oni cię postawią nad sobą. Widzisz, widzisz, jak wszystko się składa?

Głos jego stawał się coraz więcej szyderczym.

Twarz zaś Masława przybrała naprzód wyraz dumy, potęgę i dzikiej radości; stał, jakby już stopa jego deptała zwyciężonych; wyglądał jak sam władca ciemności, cieszący się dziełem zniszczenia. Lecz stopniowo oblicze jego pochmurniało; cofnął się wreszcie, jakby w kłębach dymu zobaczył coś okropnego,

— Cha, cha, cha! — rozległ się za nim śmiech, podobny do zgrzytu zardzewiałej piły, cha, cha, cha! Taki koniec potęgi i władzy bezprawnej, tak zawsze kończą podobni mocarze! Cóż, czyś zadowolony; wysoko pójdziesz przecie?

— Tak, zadowolony jestem — zawołał Masław dziko; — za jeden rok potęgi zgodzę się na wszystko! Tak, losy rzucione! Skoro przeznaczenie chce, bym posiadał władzę, niech i dalej będzie, tak jak być ma! Będę potężny, będę możny i będę bez litości, aż do końca! A tam niech się dzieje co chce!

— A ja ci w tem dopomogę — rzekł Rokitka, lecz poznać nie można było czy mówi szczerze, czy przez szyderstwo — mam dużo takich co się zapisali w moją służbę, rozkażę im teraz by tobie służyli tak wiernie, jako mnie samemu; gotów jestem dawać ci wszelką pomoc w zamiarach twoich, chcę bowiem, by twe świetne losy spełniły się co prędzej.

I znów śmiech jego rozległ się po pieczarze.

— Pamiętaj tylko o swej obietnicy, rzekł Masław.

— Bądź spokojny, nie zapomnę o niej — odparł karzeł drwiąco.

— A więc przymierze zawarte, jam twój! — zawołał dziko Masław, i wybiegł z pieczary a za nim pogonił w ciemnościach śmiech szyderczy, podobny do zgrzytu zardzewiałego żelaza.

### XI.

W dolinie Prądnika jest skała wyniosła, zwana obecnie Grodziskiem. Dawnymi czasy nosiła ona na sobie kolejno twierdze, zamki obronne lub mieszkanie Bogu poświęconych niewiast; lecz przedtem jeszcze, w wiekach, które mrok kryje teraz przed nami, wznosiło się tu gniazdo rodu starego.

Ród kneziów, wywodzących swój początek od dawnych książąt, rządzących niegdyś w Krakowie, założył swą siedzibę na tej wysokiej, stronej skale. Obecnie należała ona do starego knezia Mszczuja, knezia — wilka, jak go zwano. Ptaki drapieżne lubią mieszkać w nieprzystępnych skalach, skąd łatwiej zdobyć upatrują; kneź Mszczuj siedział też zawsze w swem rodzinnem gnieździe, i jak sęp, ostrzył szpony z wysoka. Trzymał on u siebie liczną, zbrojną drużynę, złożoną z ludzi śmiałych i mężnych; często, gdy dano znać, że kupcy wędrowni gdzieś w pobliżu ciągną ze swą karawaną, dzikie sokoły knezia Mszczuja spuszczały się z góry, a zaciąwszy się przy drodze, uderzały na zdobycz i przynosiły do gródka bogate łupy.

Była tam więc zawsze obfitość wszystkiego: krasne makiaty z Carogrodu, zrabowane na kupcach greckich, zaścielały proste, dębowe ławy, złote i srebrne kubki stały obok drewnianej misy, a każdy z ludzi knezia chodził strojny, jak książę, mając u boku najlepszą broń niemiecką i normandzką. Ale każdy z nich drżał przed kneziem, gdy ten powiódł dokoła siebie okiem surowym i zawsze spokojnym.

I nie dziw; wiadano bowiem, że gdy się zawzięcie, przed niczem się nie cofa, a zemsta jego bywa straszną; pamiętano jeszcze, jak przed kilkunastu laty, zagniewany na jednego z sąsiednich władków, najechał jego gródek, spalił, a ród cały wymordował.

Kneź niczego się nie bał, gdyż jego gródek miał tak obronne położenie że szturmem go zdobyć niepodobna było, a głodem wziąć także było trudno, bo w lochach i spichrzach znajdowały się zapasy, wystarczające na lat kilka.

Mieszkał więc wolny i niepodległy w swym gródku, bo było to w kraju dzikim, zarosłym nieprzebytymi lasami, często zajmowanym przez wroga. Taką była ówczesna Chrobacya.

W Wielkopolsce, bardziej już osiedlonej, pod okiem wreszcie króla, nigdyby się utrzymać nie mógł, ale tu był postrachem okolicy, a ród jego, korzystając ze swego wyjątkowego położenia, żył zawsze tak, jak gdyby nie uznawał teraźniejszych władców kraju, mimo, że Bolesław wielce łaskawym był na potomków dawnych książąt i niektórym z nich ponadawał sporo ziemi w posiadanie.

Na owej sławnej uczcie Geronowej padło także dwóch starszych synów knezia Mszczuja; odtąd poprzysiągł on wieczną nienawiść Niemcom; lecz i dla swoich nie był lepszym.

W późnym już wieku z drugiej żony, pochodzącej z rodu miejscowych władków, miał syna Drahomira i córkę.

Gródek knezia był przeciw ówczesnemu obyczajowi, murowany. Okrągła wieżycza, zaopatrzona w wązkie i rzadkie otwory, wznosiła się tuż ponad pionową skałą, z której, gdyś spojrział, to się zawracało w głowie. Z jednej strony leżał wąwóz, na dnie którego płynął Prądnik, z drugiej przepaść, a wierzchołki wysokich drzew, rosnących w dole, kołysały się na kilkadziesiąt stóp poniżej krawędzi skały.

Góra ta więc była tylko z jednej strony dostępną, ale ztamtąd bronił jej gruby mur i brama. Na wierzchu skały rosło kilka lip, a jedna z nich, wygięta, zwieszała się zupełnie nad przepaścią, tak, iż zdawało się, iż lada chwila wiatr ją wyrwie i zruci na dno. Oprócz wieży były tam jeszcze inne zabudowania, jak spichrze, stajnie oraz sam dwór knezia, wzniesiony z modrzewiowego drzewa.

Służba i zbrojni mieścili się wieżycy, gdzie na dole były lochy. Sam kneź, wraz z synem i bratem Odylonem, który od niejakićś czasu przebywał zazwyczaj przy bracie, nie mogąc żyć w swym gródku samotnym, mieszkali w dworcu. Wszędzie, na każdym kroku znać było, że jest to siedziba zamieszkała przez mężów jedynie; wszędzie spotykałeś tylko groźne surowe twarze, niewiasty, jeżeli i były, to się kryły trwożliwie, niby gołąbki w gnieździe sokołów.

W gródku rzeczywiście znajdowała się córka knezia, Ziezilia, ale była ona bogom poświęcona i pozostawała przy ojcu tylko dla tego, że nie było już żadnej świątyni w którejby im służyć mogła. Otaczało ją kilka dziewcząt, zwykle trwoźnych i cichych; nigdy też po świetlicach nie



rozległ się srebrny śmiech dziewczęcy, nigdy pieśń wesoła, zawiedziona nad kądziela, nie obila się o ściany, — obecność straszno go knezia wszystko mroziła.

Ale za to, gdy się połów dobrze udał, kneź wydawał ucztę swoim dzielnym witezom; wówczas puchary dźwięczały, a pieśni płynęły daleko po dolinie, trwając wędrowca wieczornego, który copredziej uchodził jaknajdalej od drapieżnego gniazda. Twarze wszystkich biesiadników były wtedy wesołe, tylko oblicze knezia nie rozchmurzyło się nigdy; siedział na czele stołu, zimny i spokojny, niby posąg z kamienia, a nikt nie wiedział, jakie myśli ważyły się w tej posepnej duszy.

Tego rana wiał dość chłodny wiatr w dolinie, kneź Mszczuj siedział w wielkiej izbie, z ogniskiem w rogu, ze ścianami obwieszonymi rozmaitym bronią, oraz głowami łosiów, dzików, turów i niedźwiedzi. Skóry tych zwierząt zaściełały ławy, a nawet miejscami podłogę, ułożoną z kamieni.

Gdziekolwiek rzucona była niedbale bogata makata, purpurą tkana, drogie puchary stały na stole. U ogniska grał się oswój wilk knezia, zwany Luty, a obok niego duży, siwy pies. Sokoły, przysposobione do łowów siedziały na żerdziach, schowawszy głowy pod skrzydła. Kneź Mszczuj zasiadł przy ognisku, wsparłszy nogi na swoim wilku. Przy oknie, wychodzącym na ową przepaść, pełną zieleni, przędła młoda Ziezilia, milcząca i smutna, jak owa bogini, której nosiła miano. Drahomir siedział nieco opodal za stołem, zadumany, z głową wspartą na rękę, a nie musiały to być zbyt wesołe dumy, bo chmury często przechodziły po jego czole.

W izbie panowała cisza, gdyż w obecności starego knezia nikt nie śmiał się ozwać pierwszy, milczano więc.

— Drahomirze — ozwał się wreszcie kneź — zbliż się tu.

Drahomir wstał i podszedł do ogniska w milczeniu.

Kneź obrócił się do córki:

— Odejdź Ziezilio, rzekł rozkazująco i zimno, dziewczki nie potrzebują być obecne przy naradach mężów; to nie ich rzecz!

Ziezilia wyszła z izby, nie wyrzekłszy ani słowa.

Gdy drzwi się za nią zamknęły kneź rzekł do stojącego przed nim syna:

— Oddawna już chciałem z tobą pomówić. Ważna chwila teraz nadeszła, jeśli z niej nie skorzystamy, nigdy się już pewno druga podobna nie trafi. Sądzę, żeś nie zapomniał z jakiego rodzaju pochodzimy?

Mówił, jak zwykle, głosem spokojnym i chłodnym, z oczyma na wpół przymkniętymi, jakby chcąc przyćmić posępny ogień w nich błyszczący.

Dla czegoż mię pytasz o to, ojcze? rzekł Drahomir.

— Dla tego, iż teraz właśnie nadszedł czas, kiedy powinienś pokazać czyś jest godnym tego rodzaju, którego praszczur rządził kiedyś na Krakowie.

I dodał, głos nieco zniżając.

— Bolesław zajęty wojną, nie może przyjść na ratunek swego państwa; zresztą los wojny jest niepewny i kto wie co się z nim stanie. Tu tymczasem nie trudno podburzyć lud, który w wielu miejscach żałuje starych bogów, reszta będzie musiała pójść za większością.

— A kto go podburzy? spytał Drahomir.

— Masław podejmuje się to zrobić.

— Masław, powtórzył Drahomir niedowierzająco; ja Masławowi nie wierzę; on o sobie myśli, a nie o nas. Liczyć na lud, to wszystko jedno, co na piasku budować. On dziś z tym, jutro z tamym, a zawsze stoi po stronie siły; szalony ktoby wierzył, że można rachować na jego stałość, na jego odwagę lub wierność...

— Czy myślisz, że ja na nią rachuję? spytał kneź spokojnie, czy myślisz, że nie znam tego motłochu? Lecz zręczny zawsze ma powodzenie; trzeba umieć tylko sterować w porę; niech sobie Masław myśli, że dla siebie pracuje, co nam to szkodzi? Oddał on nam zanadto wiele przysług, by go się już teraz pozbywać; będzie nam jeszcze czas jakiś potrzebny.

A potem, co robimy z nieużytecznym już narzędziem? Łamiemy je lub odrzucamy. Ale na to będzie jeszcze czas. Jak podburzył ludy połabskie przeciw Bolesławowi, tak potrafi podburzyć i nas, a my tego zrobić nie możemy. Nie słuchanoby nas, więc też musimy go jeszcze zostawić.

— A cóż dalej? pytał chłodno Drahomir.

— Dalej? Dalej weźmiemy co nam się z prawa należy. Albo to przodkowie nasi nie panowali ongi w Krakowie, i iuy teraz to potrafimy.

— Czy nam dadzą tylko? spytał nieco ironicznie Drahomir. Zdaje mi się, że Bolesław ma dość siły, aby na to nie zezwolić.

(d. c. n.)

## Powrót z winobrania w Kampanii rzymskiej.

Lud wiejski ma wszędzie prawie podobno zwyczaje i uroczystości. U nas, gdzie uprawa zbóż rozmaitych stanowi podstawę bytu rolników, najweselej obchodzą się dożynki czyli okężne, po ukończeniu zbioru żyta i pszenicy. Rozlegają się wtedy wesołe gwary i piosenki a wieczorem przy dźwiękach skrzypceczek tańczą ochoczo parobczaki i dziewczuchy we dworach i wioskach. W innych krajach równie wesoło obchodzą ukończenie zbiorów winogron, oliwek i t. p. Rycina nasza na pierwszej stronie przedstawia powrót z winobrania wieśniaków włoskich, z okolic Rzymu. Uprawa winogron, z których wytłacza się wino, jest głównym zajęciem i źródłem dochodów ludności w tej pustej miejscami, błotnistej, miejscami kamienistej okolicy, zwanej „Kampanią.” Śnać tej jesieni zbiór się udał, bo w ogromnej dwukołowej biedzie brzmi tamburino, i rozmawiają ochoczo. Nawet poważne woły jakoś raźnie postępują: pewnie dziś z racji ogólnej wesołości dostaną więcej stawy. W dali widać ruiny dawnego staro-rzymskiego wodociągu, którym płynęła woda ze źródeł górskich do wiecznego miasta.

### PRENUMERATA WYNOŚI:

W WARSZAWIE rocznie rs. 4, z przesyłką pocztową rs. 5 — stosownie do tej ceny półroczna i kwartalna.

W Austrii kwartalnie zhr. 1 cent. 75 (3<sup>1</sup>/<sub>2</sub> korony). — W Prusach: kwartalnie mar. 3.

ADRES REDAKCYI, ULICA Mazowiecka Nr. 10

**TREŚĆ:** Powrót z winobrania w Kampanii rzymskiej (z ryc.) — Panorama „Przeście przez Berezynę.” (z ryc.) — Bez przewodnika. — Babie lato przez Jadwigę Warnkównę. — W obłokach i pod wodą, wyprawy „Latającej ryby,” opisał H. C. — Obrońcy bogów, przez M. Łopuszańską. — Dodatek: O Japonii (z ryc.) — Józio opiekunem, komedyjka w jednej odsłonie. — Dług wdzięczności przez Zofię Rudnicką. — Łamigłówki i rozwiązania. — Skrzynka do listów. — Dodatek książkowy: Wspomnienia Haliny, przez Julię Piasecką.



## O JAPONII.

Zgadnij, Wańdziu, jaką ja lekcję najwięcej lubię? — pytała Zosia swej przyjaciółki.

— Pewnie historię, bo dla mnie jest to nauka najbardziej zajmująca.

— Eh nie, ja nadewszystko przekładam geografie! Bo tylko pomyśl, ile to ciekawych rzeczy dowiedzieć się z niej można o różnych krajach i ludach, zamieszkujących ziemię. Ile razy też spojrzę na mapę, zaraz mię ochota bierze zwiedzać wszystkie te dalekie strony.

— I jabym chciała podróżować, wielka musi to być przyjemność, i jak dorosnę, poproszę ojczulka, żebyśmy pojechali na Wschód. Nauczycielka mówiła mi, że Azja była kolebką rodu ludzkiego. to znaczy, że tam był raj ziemski, w którym mieszkali pierwsi nasi rodzice: Adam i Ewa; dla tego też historia powszechna zaczyna się przedewszystkiem od starożytnych ludów azyatyckich.

— Mogłybyśmy wybrać się tam razem, ale gdy ty zwiedzałaś Palestynę, Syryę, Persyę i ruiny dawnych miast: Niniwy i Babilonu, ja powędrowałabym do Japonii, bo mnie więcej zaciekawia to, co się teraz dzieje na świecie, niżeli to, co się działo przed wiekami.

— A cóż ciekawego słyszałaś o Japonii? — dopytywała Zosia.

— O, wiele rzeczy! Mówiono mi, że Japończycy są bardzo pracowici i przemyślni, wyrabiają też piękną porcelanę i materye słynne na świat cały. Są oni nadto wyjątkowo zamiłowani w czystości, brzydzą się nieporządkiem i brudem, a kobiety lubią się stroić w jedwabne suknie o jaskrawych barwach, i chociaż nie są bardzo urodziwe, oryginalnie wyglądają w długich, wzorzystych ubraniach. objętych w pasie szeroką szarfą. Spacerują zawsze z ogromnemi parasolami, a w mieszkaniach nie wypuszczają z rąk dużych wachlarzy z liści albo malowanego papieru. Dziwniej jeszcze ma wyglądać Japończyk z podgolonymi od czoła włosami i spadającym z czubka warkoczem, odziany w płaszcz papierowy, który nasiąknięty jest oliwą, dla zabezpieczenia od wpływu wilgoci.

Ciocia Mania czytała mi też raz historię o dwóch dziewczynkach japońskich imieniem O-Yu i O-San. Były one jeszcze małe, gdy rodzice zanieśli je na plecach, w czasie dorocznej pielgrzymki na świętą górę Nan-tai-zan, a potem na pamiątkę wypisali ich imiona na wielkiej tablicy, umieszczonej przed świątynią.

— A co te dziewczynki zwyczajnie całe dnie robiły?

— O-Yu i O-San były córkami biednego rybaka, to pewno zabawek nie miały, ale ich ojciec brał je często do łodzi, kiedy wyjeżdżał na połów ryb, aby mu pomagały w zakładaniu wędek. Dowoził je też czasem na dalsze brzegi wyspy, na której mieszkali, bo wiesz, że cesarstwo

Japońskie składa się z samych wysp, leżących blisko obok siebie. Tam dziewczynki rwały kwiaty dziko rosnących azalei i przywiezione do domu bukiety wstawiały w gliniane, duże stągiewki, czyli wazony, ozdobione malowidłami. W pokoju, w którym mieszkały, prócz tych stągiewek i piecyków do żarzących węgla, nic więcej nie było, tylko na podłodze leżały białe maty, po których nie wolno im było chodzić w trzewikach.



Młode Japonki.

— Jakto, więc chodziły boso, chociaż miały trzewiki?

— Tak właśnie, bo w Japonii jest taki zwyczaj, że wszyscy zdejmują obuwie, zanim wejdą do pokoju, a deptanie trzewikami po czystych matach uważane byłoby za taką nieobyczajność, jak u nas chodzenie po stołach lub kanapach. We dnie Japończycy siedzą na tych matach, w nocy kładą się na nich, biorąc tylko małą poduszkę pod głowę.

— To nam daleko wygodniej w naszych miękkich łóżeczkach, prawda Wańdziu?

— Niezawodnie, my mamy nasze wygodę, a Japończycy swoje. Dziwne jest też podobno urządzenie wewnątrz domu, którego oddzielne pokoje tworzą tylko ru-



chome parawany. Nie myśl wszakże by te małe Japonki, chociaż sypiały na ziemi, były brudne, jak to najczęściej widzimy u naszych dzieci wiejskich, przeciwnie, mama ich, choć uboga, pilnowała przedewszystkiem porządku, i pod każdym względem czuła i troskliwą była mateczką.

— Bardzo to wszystko ciekawe, co mi powiadasz o Japonii, kochana Zosiu — odezwała się po chwili milczenia Wańdzia — ale ja przypominałam sobie, co mi babunia raz mówiła, że choć może być rzeczą przyjemną zwiedzać obce kraje i poznać ich mieszkańców, najmilej jednak mieszkać we własnym, gdzie przecież mamy tyle ciekawych i pięknych miejscowości, i tyle różnych zwyczajów wśród naszego ludu, z którym się bliżej poznać przedewszystkiem należy.

## JÓZIO OPIEKUNEM.

KOMEDYJKA W JEDNEJ ODSŁONIE.

(Dalszy ciąg).

### SCENA 4-ta.

JÓZIO. O cóż wam chodzi? Zdaje mi się, że nie możecie się zgodzić, która ma zostać w domu?

ZOSIA. No, bo powiedz tylko, Józiu...

LUCIA (*przerzywa*). Ja chcę zostać, więc zaraz Wańdzia chce także zostać.

WAŃDZIA. Bo samej będzie ci smutno.

JÓZIO. Ja wam najlepiej doradzę.

ZOSIA. Może losy mamy ciągnąć?

JÓZIO. Nie potrzeba; pojedziecie wszystkie.

LUCIA. A Helenka z kim zostanie?

JÓZIO. Ze mną. Przecież wiecie dobrze, że ja nie jadę.

LUCIA (*śmieje się*). Ha, ha, ha! Józio opiekunem Helenki.

JÓZIO (*obrażony*). Z czego się śmiejiesz?

LUCIA. Z ciebie! Że jesteś taki zarozumiały i że myślisz, że to tak łatwo opiekować się dzieckiem?

JÓZIO. Helenka ma już lat siedm, nie jest znów tak małym dzieckiem, żebym ją ciągle musiał za rękę prowadzić i pilnować, żeby sobie guza nie nabiła.

WAŃDZIA. Ale Helenka jest bardzo rozpieszczoną, nie dasz sobie z nią rady.

JÓZIO (*z gniewem*). Tak! ja to sobie nie dam rady, a Lucia na przykład, roztrzepaniec taki, może sobie dać radę?

LUCIA. No, no, bardzo proszę!...

ZOSIA. Co innego my dziewczynki, jesteśmy stworzone na to, żeby się dziećmi opiekować, ale wy, chłopcy nie macie o tem pojęcia.

JÓZIO. Proszę, proszę... jaka mądra osoba z tej Zosi!... Otóż dowiedźcie się moje panny, że wasze sprzeczki nic nie znaczą, bo ja już rozmawiałem z mamą i ciocią; przystały na to, że Helenka zostanie pod moją opieką.

LUCIA. Doprawdy?

JÓZIO. Nieinaczej!... Nie traćcie więc czasu na próżno, bo już zajechano, idźcie się zabierać w drogę!... Helenkę proszę mi tutaj przysłać.

WAŃDZIA. No, no, no! dziwię się, że mama na to przystała!

ZOSIA. Ciekawam, jak sobie dasz radę z Helenką.

LUCIA. Kiedy Józio tak mówi, widocznie mama pozwoliła. Niech sobie będzie opiekunem! (*wychodzą*).

### SCENA 5-ta.

JÓZIO. Nieznośne są te dziewczęta, takie zarozumiałe! Myślą, że żaden z nas nie potrafi zaopiekować się dzieckiem! Nie dziwiłbym się, żeby to dziecko miało pół roku, my mężczyźni nie jesteśmy stworzeni na niańki. Ale Helenka ma lat siedm! Zdaje mi się, że lepiej potrafię się nią opiekować, niż taka roztrzepana Lucia. (*wchodzi Helcia*). Chodź, Helenko bliżej tu do mnie. (*Siada z powagą na krześle*). Dzisiaj musisz mi być posłuszną we wszystkim, bo ja zastępuję ci ojca, matkę i ciotkę, jestem twoim opiekunem.

HEL CIA (*placziwie*). Ja nie chcę takiego opiekuna! Ja pojadę z mamą! (*chce wyjść*).

JÓZIO (*zastępując jej drogę*). Nie pójdziesz stąd nigdzie. Ja nie pozwolę!

HEL CIA (*tupie nogą niecierpliwie*). Właśnie pójde! Na złość pójde!...

JÓZIO. Zobaczymy! Spróbuj tylko!

HEL CIA (*odsuwając Józia*). No, Józiu, puść! Bo ja chcę wyjść stąd!

JÓZIO. Ja nie pozwalam!

HEL CIA (*niecierpliwie*). Kiedy ja chcę! Słyszysz! Ja chcę zaraz wyjść!

JÓZIO. Cóż mnie to obchodzi, że ty chcesz!... Ja nie pozwalam i koniec! Dzisiaj musisz mi być posłuszną.

HELENKA (*z płaczem*). Puść mnie! Ja sobie pójde! Nie chcę zostać z tobą! Ja chcę jechać z mamą.

JÓZIO. A to nieznośny dzieciak! Słuchaj Helenko; nie ci nie przyjdzie z tego płaczu i krzyku, bo mama już pojechała, a ponieważ zostawiono cię pod moją opieką, nie mogę cię stąd puścić, musisz być ciągle razem ze mną. Powtarzam ci więc stanowczo, że zostaniesz tutaj.

HEL CIA (*placząc głośno*). Ja nie chcę!... Jesteś nieznośny!...

JÓZIO. A to czyste utrapienie z tą dziewczyną! Nie ma innej rady, tylko muszę zawołać Marcysi, żeby zabawiła tę bekse. (*woła głośno*). Marcysiu! Marcysiu!

MARCYSIA (*za sceną*). Zaraz! zaraz!

JÓZIO. Moja Marcysiu, proszę cię, przyjdź prędko!

(d. n.)



# DŁUG Wdzięczności

przez

Zofię Rudnicką.

(Dalszy ciąg)

Po kilkunastu dniach takiej ciężkiej drogi ujrzeni zdała miasto; poznali po wysmukłych wieżyczkach, na których błyszczały w słońcu półksiężyce, że jest to miasto tureckie. Tu losy ich miały się rozstrzygnąć! Jakże pragnęli, by przynajmniej razem byli sprzedani, by ich nie rozłączono! W oddali od miasta nad płynącym potokiem dotychczasowy pan ich wstrzymał pochód; sam ze swym towarzyszem zsiadł z konia, im wskazał, by konie napoili a potem rzucił im resztki niedojedzonych placzków i spać pozwolił. Janek znużony nad wyraz, legł w gęste i miękkie trawy, ale mimo zmęczenia zasnąć nie mógł: miotał nim niepokój, co dalej stanie się z nim i jego towarzyszami... Nie mógł zasnąć, więc zobaczył, jak jeden z Tatarów wsiadł znowu na konia i ruszył w kierunku miasta, drugi tymczasem pozostał przy nich na straży, jak zawsze sciskając bat w rękę i dzikim wzrokiem śledząc każdy ruch swoich ofiar. Czy Janka spotkały się z tem skośnem spojrzeniem, które go zawsze dreszczem grozy przejmowało. Przymknął powieki by uniknąć tej przykrości i sam nie wiedział, kiedy Bóg zesłał mu sen twardy i spokojny.

Gdy się zbudził, słońce chyliło się już ku zachodowi, a więc spał kilka godzin! Towarzysze jego, także już obudzeni, siedzieli w ponurem milczeniu. Tatarzy pętali konie na noc. Odwrócili się na chwilę, wtedy jeden z włóścian cicho rzekł do Janka.

— Dają nam wypoczywać w spokoju, karmią lepiej, ot tu jest świeży chleb, ryż z baraniną i mleko, widać więc, że wkrótce wyprowadzą nas na targ.

Chcą żebyśmy się przedtem poprawili w wyglądaniu, bo przez mękę tej okropnej drogi schudliśmy bardzo... My, kiedy woły wyprowadzamy na jarmark, to je karmimy, by lepiej sprzedać, i oni to samo robią z nami. Nie chciałem jeść, to mnie batem zmusili!

Janka nie trzeba było zmuszać do jedzenia; od czasu swej niewoli pierwszy raz dostał mniej wstrętne czyściejsze jedzenie; zjadł więc swoją porcję ze smakiem. O zachodzie słońca kazano im się wykąpać w strumieniu. Była to prawdziwa rozkosz dla tych biedaków; Janek wyszedł z kąpieli jakby odrodzony; uczuł się znowu zdrowym i silnym. Duży był nad wiek, rozrośnięty, bo przebywał dzień i noc od dłuższego czasu na powietrzu, więc wzmocnił się jeszcze i urósł. Tatar spojrzawszy na niego uśmiechnął się z zadowoleniem. Wypoczywano tak kilka dni, karmiono ich i pędzono codziennie do kąpieli. W tych kilku dniach przybyło więcej takich Tatarów ze swymi jeńcami, bydłem i końmi. Rozkładano się nad tym samym strumieniem. Jankowi zdawało się, że w jednym z takich taborów poznał konia swego — serce mu uderzyło silniej, oczy zaszyły łzami, cała szczęśliwa przeszłość, cała obecna niedola dała mu się silniej odczuć...

— Jarmark będzie w mieście, więc spędzają bydło i jeńców na sprzedaż — zrobił uwagę jeden z włóścian.

Janek wzdrygnął się.

Nareszcie jednego dnia weszli do miasta i minawszy kilka ulic ciemnych i brudnych, znaleźli się na otwartym placu, wypełnionym już mnóstwem niewolników wystawionych na sprzedaż. Z przerażeniem poznał Janek, jak wielu jest nieszczęśliwych, dzielących jego smutne losy... Stał przestraszony, nieprzytomnemi prawie oczyma patrzył, jak między tymi biedakami snuli się rozmaici ludzie, a najwięcej Turków. Tych poznał po ubraniu, po turbanach na głowie. W zamku jego dziadka był z drzewa wyrobiony Turek w sukniach tureckich z turbanem, to jest z zawojem na głowie. Służył jako cel do ćwiczenia się w strzałach. Ileż to razy on sam, pod okiem pana Jakóba lub dziadka, strzelał do tego udanego Turka! Na to wspomnienie łzy przysłoniły mu oczy. W tej chwili usłyszał gdzieś niedaleko krzyk przeraźliwy.

— Matko moja! Och, matko!

Wstrząsnął się cały, obejrzał i zobaczył dwie kobiety splecione w uścisku, które stary Turek przemocą rozrywał, nie zwracając uwagi na rozpaczliwy krzyk młodszej z nich. Rozdzielili je brutalnie, córkę z pomocą drugiego Turka wsadził na konia, sam siadł poza nią i nie zważając na jęki i płacz swojej ofiary, uderzył konia na hajkę i zniknął wśród tłumu, obojętnego na rozegrany przed chwilą dramat. Janek przerażony nie mógł oderwać oczu od miejsca, gdzie się ta scena odbywała; widział Tatara stojącego nad zemdloną matką sprzedanej dziewczyny i obojętnie liczącego pieniądze wzięte za nią.

Janek przejęty grozą i litością zakrył oczy i odwrócił głowę. Nagle uczuł, że ktoś ujął go silnie za ramię, tak silnie, że aż go zabolalo. Odsłonił oczy i ujrzał Turka, który go trzymał, ale głowę miał odwróconą i rozmawiał z Tatarem trzymającym ich na powrozie. Mówili, jakby się sprzeciali, potem zaczął Turek opatrywać Janka, dotykał pleców i ramion, potem podniósł mu grube mi i brudnymi palcami wargę górną, odchylił dolną, postukał zęby, słowem oglądał, tak jak się ogląda konia. Skinął głową i począł tak samo oglądać towarzyszy jego. Janek widział, że to był targ o niego, że go sprzedawano... jęknął cicho.

— O! matko moja, szczęście, że nie widzisz co się dzieje z dzieckiem twojem, bo serce pękłoby ci z żalu!

A towarzysze jego klęli:

— Psy niewierne, pohańce, Bóg się porachuje z wami, pójdziecie na dno piekła, na wieczne zatracenie.

A tymczasem Turek dobił targu z Tatarem. Ale jakież żało ścisnął serce Janka, gdy nowy ich pan zabrał tylko jego i młodszego z jego towarzyszy, starszy pozostał na powrozie Tatara i rozdzielony z nimi, gorzko zapłakał. Nowy nabywca popędził ich przez miasto, i wkrótce znaleźli się w ustronnem miejscu, gdzie nie było takiego zgiefku. Stały tam rzędem rozmaite wozy i wózki, jakich Janek dotąd nie widywał. Turek kazał im wsiąść na jeden, na którym już było kilku niewolników pod strażą, narzucił na nich jakiś rodzaj płachty i natychmiast ruszyli w drogę.

(d. c. n.)



## SZARADA.

Od Wichury dla Puszczyka z P.

Że *pierwsze* przeczy, o tem dobrze wiecie,  
Bo takie już zadanie ma ono na świecie.  
*Drugie* jest znowu maleńkim wyrazem,  
Co zwykle w mowie naszej łączy zdania razem;  
Lecz wspaniałe, miano rzeki daje,  
Która bystro przepływa zauralskie kraje.  
Skoro zaś *wszystko* w całość jedną złożysz,  
Wnet w swym umyśle piękne pojęcie utworzysz,  
O miejscu błogiem, kędy dusze czyste  
Dążą przez ziemi naszej te drogi cierniste.

## ŁAMIGŁÓWKA SYLABOWA.

Ułożyła Wichura.

1) Jedna z 9 muz. 2) Córka wiel. ks. litewskiego. 3) Wyspa na morzu Śródziemnem. 4) Postać z Pana Tadeusza. 5) Miasto w Hiszpanii. 6) Gatunek kruka. 7) Rzeka w Syberii. 8) Cesarz rzymski. 9) Miasto w Australii. Sylaby: Al—a—a—dus—de—do li—da—ga—ir—juez—ka—lio—na—laj—me—na—ne—pe—te—ron—ran—ro—tyśz—wan.

Teraz was proszę czytelnicy mili,  
Byście z tych sylab wyrazy złożyli  
Których, gdy pierwsze litery poznacie  
Nazwę dawnego miasta otrzymacie,  
Co było wielkie chociaż z tego znane,  
Że na wołowej skórze zbudowane.

## ŁAMIGŁÓWKA LITEROWA.

Ułożył Aleksander W.

W kwadracie o 5-ciu przedziałkach rozłożyć liczby od 1-go do 25 w ten sposób, aby tak w kierunku pionowym jak poziomym wypadła liczba 65.

## ROZWIĄZANIA DO N-ru 39.

Szarady: Sza — ka — le.

## Arytmogryfu:

1) Lublin. 2) Elżbieta. 3) Nowogród. 4) Ateny. 5) Rumunia. 6) Toruń. 7) Orzeł. 8) Wenecja. 9) Ignacy. 10) Chiny. 11) Zamość. Lenartowicz.

## Łamigłówniki w trójkącie:

L i n n e u s z  
I s p a h a n  
N i e m e n  
N a r e w  
E b r o  
U l m  
S a  
Z

## Skrzynka do listów.

Aleksandrowi W. Nagrodę wysyłamy, mając nadzieję, że gdy czas pozwoli nie będzie zwlekał z napisaniem dłuższego, i jak zwykle obfitego w ciekawe szczegóły listu.

Kwadrat magiczny Białego Zajączka przejrzymy i jeżeli tylko okaże się dobrym, wydrukujemy. Rozwiązanie rebusika dobre.

Laszce wysłaliśmy brakujący numer dodatku powieściowego.

Z przyjemnością odpowiadamy Kotce na wszystkie zapytania, a skorośmy ją zaliczyli już do rzędu stałych korespondentek, prosimy, aby często pisywała do nas, donosząc coś więcej o sobie, o zajęciach swych, rozrywkach i naukach. Dodatek powieściowy wyślemy, trzeba jednak pierwszej zawiadomić nas które właściwie brakują numeru: Za pierwsze półrocze dodatków i kosztów przesyłki należy się kop. 21. które można przysłać markami pocztowymi do redakcyi. Przypominamy podanie dokładnego adresu.

Czyż doprawdy tak trudno było przemódz wrodzoną nieśmiałość kochanej Jutrzenki a kilkoletniej naszej prenumeratorce do napisania pierwszego liściku? Toż w odpowiedzi do twych rówieśnic i rówieśników przekonać się mogłaś z jaką przyjemnością listy wasze witamy i jak chętnie odpowiadamy na nie. Ale teraz gdy już pierwsze lody zostały przełamane, spodziewamy się, że nowa Jutrzenka, która nam wreszcie światelkiem swym błysnęła, przesyła od czasu do czasu jeden ze swych promieni do naszej redakcyi w postaci miłego liściku. Łamigłówniki, jeżeli tylko okażą się odpowiedniami, pomieścimy chętnie.

W. Bardzo jesteśmy radzi, że tak jesteś zadowolona z otrzymanej nagrody. W przysłaniu robótki na konkurs, z powodu formalności celnych, radzimy wystarać się o jakąś prywatną okazję a my przez wzgląd na tę trudność gotowi jesteśmy nawet po rozstrzygnięciu konkursu osądzić ją oddzielnie.

Podziwiamy porządek i systematyczność Marysi z Kuchar w zebraniu i ułożeniu tak wielkiej ilości marek, i sądzimy, że cel tego trudu jest jej najmiłą nagrodą. Wobec licznie nadsyłanych takich zbiorów niezawodnie wkrótce wyślemy pierwszy ich większy pakiet, do Belgii. Za miły liścik dziękujemy, zalecając byś wytrwała w dobrym zamiarze obdarzania nas częściej podobnemi, a prawdziwą zrobisz nam przyjemność.

Własnego układu łamigłówniki i szarady przysłali: Czarny ry-cerz, Giermek, Srebrna gwiazdka. Mania i Zosia. Dobre zaś rozwiązania: Romcio A., Stefan G., Filutek, Gucia M., i Lucio K.

Nie myli się Romcio A, gdy sądzi, że kocham dzieci, i że mi prawdziwą są przyjemnością ich miłe liściki, które chciałabym jak najliczniej odbierać. Witam też Romcia serdecznym pozdrowieniem pewna, że te pierwsze słowa są zapowiedzią wielu następnych, za pomocą których coraz lepiej zapoznawać się będziemy.

Helence Sz. oraz wszystkim moim dawnym korespondentom i przyjaciółom dziękuję za pamięć, i serdecznym pozdrowieniem, polecam się nadal ich serduszkom.

Jaskółka.

## Gimnastyka szwedzka i masaż

pod kierunkiem dr. Sławińskiego dla dzieci,  
panieniek i pań.

Lekeye zbiorowe dla dorosłych w połączeniu ze śpiewem.  
Lekeye specjalne dla wątłych, nerwowych, źle się trzymających,  
przy zbożeniach kręgosłupa i łopatek.

Zakład p. HELENY KUCZAŁSKIEJ. MAZOWIECKA NR 5.